

Macierz Polska.

Tygodnik ilustrowany dla dzieci i młodzieży

NR. 52.

CHICAGO, 26-go GRUDNIA (DECEMBER 26-th), 1907.

ROK (Year) VII.

ENTERED AT CHICAGO, ILL., POST OFFICE AS SECOND CLASS MATTER



POKUSA.

HENRYK SIENKIEWICZ.

Z podróży do Afryki.

(Ciąg dalszy).

OWOCE ZWROTNIKOWE.

Główne pożywienie murzynów tak w Zanzibarze, jak i w głębi Afryki stanowią bulwy moniak, czyli kasawy. Są one trujące w stanie świeżym, lecz wyciśnięte i zmielone na mąkę, dają pokarm bardzo pożywny. Widziałem całe stosy tych bulw, podobnych do wydłużonych, brudno białych ziemniaków. Obok nich sprzedają owoce mango. Są ich dwa gatunki: większy i mniejszy; oba wyborne. Większe mangu dochodzą wielkości melona, mniejsze nie przenoszą objętości pięści dorosłego mężczyzny i są bardzo poszukiwane. Skórę mają zielonawą, sprężystą, mięsz barwy bursztynu, w środku pestkę płaską, do brzoskwiniowej podobną. W smaku tkwi jakby maleńki odrzask terpentynowy. Przyzwyczajwszy się do tego odrzasku, nie można się ich odjeść, tak słodczy ich jest wykwintna, tak są soczyste, chłodne i rozplywające się w ustach.

Obok brunatnych, kosmatych kokosów, pełnych świeżej, słodkiej wody, objętej w śmietankowym pokrowcu, leżą potężne pęki bananów; tu połyskują fioletowe ciała oberżyn, tam kosze czerwonych, jak korale pomidorów, nie większych od śliwek, o smaku wytwornym, kwaskowatym; dalej, na palmowej macie, cały stos złotych mandarynek, które gąbkowatą skórą, zdają się wsiąkać światło słoneczne. Gdzie spojrzysz, wszędy coś nowego: to złotosiwe ananasy, ogromne, niemal jak głowy, a tak tanie, że za jednego miedziaka kilka ich dostać można; to zielone, łuskowate annony, pełne w środku, jakby ubitej z cukrem śmietanki; to wreszcie olbrzymie owoce, zwane małpim chlebem, w których ognistym wnętrzu siedzą czarne ziarnka, jak potępińcy w piekle.

Do najlepszych owoców należą także małe, zielone banany, tak delikatne, że w ustach niemal zmieniają się prawie w płyn; dalej jeszcze gojawy, jabłuszka z Cytery i licznie rodzaje orzechów. Cała dzielnica indyjska pachnie sandałem i gwoździkami, ale nad temi targowiskami unosi się inny zapach, trudny do określenia, bo złożony z całej gamy woni, nieco do zapachu soku owocowego podobny, nieco surowy, ale orzeźwiający, przesycony lotnymi olejkami owocowymi i zarazem wanilią.

AUDYENCYA U SUŁTANA.

W Zanzibarze zrobiliśmy kilka znajomości z Europejczykami, chciałem też zobaczyć i sułtana zanzibarskiego. Dopomógł mi w tem tamtejszy konsul angielski: dnia 20 lutego zaprosił mnie na uroczystą audyencyę do sułtana. O dziesiątej z ra-

na wraz z moim towarzyszem udaliśmy się do konsulatu, skąd z innemi jeszcze osobami, poprzedzani przez sześciu sług konsularnych, czerwono przybranych, ruszyliśmy parami w stronę pałacu sułtańskiego.

Po drodze gromady czarnych gapiły się na świetne mundury angielskie. Na placu zastaliśmy tłumy, lecz mogliśmy postępować swobodnie szerokim szpalerem, utworzonym przez zbrojnych murzynów, stojących w dwa szeregi z każdej strony. Idący za mną konsul objaśnił mi, że to jest wojsko nieregularne sułtana, i rzeczywiście nie podobnie nieregularnego nie widziałem nigdy w mojem życiu. Stało tam około tysiąca drapichrustów małych wielkich, starych i młodych, krzywych i prostych, ubranych i półnagich; żadnych hełmów, kapeluszy i czapek; jedni mieli łby wygolone, drudzy strzechy czarnych i wełnistych, lub spalonych na czerwono od wapna włosów; jedni dźwigali zardzewiałe karabiny skałkowe, drudzy szable, trzeci łuki i tarcze, inni maczugi, inni znów długie strzelby arabskie, niektórzy stare pistolety bez kurków. Podobny do uzbrojenia był i ubiór tego wojska nieregularnego. Gdziegdzie błyszczały białe perkale, tam znów widać było tkaniny jasno czerwone, purpurowe i znów białe, dalej żółte, błękitne, pasiaste, wszystko nietylko jasne od słońca, ale niemal gorejące. Nad tą mieszaniną kolorów, widać twarze jakby z ciemnych metali powykuwane, głowy nieruchome podniesione do góry, jak na żołnierzy przystało.

Idąc dalej, spotkaliśmy wojsko regularne, uzbrojone w karabiny z bagnetami, których ostrza płonęły w słońcu, jak świece. Ci przybrani w ciemne mundury, ale boso, wyglądali poprostu, jak kómienniarze. Ogłuszająca muzyka zaczyna grać: „Rule Britannia” — konsul odkrywa głowę, regularni sprezentowali broń i weszliśmy do pałacu.

W sieni mnóstwo wojowników arabskich, zbrojnych w bardzo bogatą broń i kilkunastu oficerów z włosami spadającymi aż na kołnierze czerwonych mundurów. Wszedłszy na białe lakierowane schody, na wierzchu nich dostrzegłem człowieka średnich lat, o żółtawej, nieco popstrzonej osą cery, przybranego w niebieski zawój z piórem, niebieski pas i czarny żupan, z pod którego wyglądała biała koszula, był to sam Said - Ali, sułtan Zanzibaru.

Sułtan powitał każdego z nas podaniem ręki i wprowadził wszystkich do obszernej, prostokątnej sali, w której stoją pod ścianami zwykłe europejskie fotele. Na jednym z nich, wyższym od innych i wyłożonym, zasiadł sułtan, po prawicy jego usiadł konsul, za konsulem ja i mój towarzysz, jako goście, za nami kapitanowie okrętów i sekretarze konsulatu, resztę zaś miejsc zajęli Arabowie i krewni sułtana.

Tłumacz ułatwia nam rozmowę: wysłuchawszy z niskim ukłonem pytania sułtana, powtarzał je, również pochylony, temu z gości, do którego było skierowane. Naturalnie, że na takiej audyencji rozmowa staje się bardzo banalną, oto, mniej więcej, jej treść:

— Jego wysokość pyta waszej miłości, jak panu podoba się Zanzibar?

— Powiedz jego wysokości, że Zanzibar podoba mi się bardzo.

— Jego wysokość cieszy się z tego mocno, że Zanzibar podoba się panu.

Następują ukłony i kolej przypada na następnego.

Natomiast przypatrywać się można do woli i jest czemu. Spostrzegłem nap., że sułtan ma za pasem przepyszny, indyjski nóż, na palcach brylanty, wielkości laskawych orzechów, ale jest bosy. Pod stopami miał tylko rodzaj drewnianych podeszw, przytwierdzonych skózanymi paskami do nogi. Strój jego zresztą nie różnił się niczem od stroju jego otoczenia: wszyscy mieli niebieskie zawoje, czarne żupany na białych koszulach i za pasem także same, lubo mniej bogate noże.

Pod koniec audyencji wniesiono kawę w ślicznych, indyjskich filiżankach i słodycze. Przez ten czas przypatrywałem się notablom arabskim. Siedzieli oni wzdłuż dwóch ścian, nieruchomi, jak posągi. Byli to po większej części ludzie starzy z długimi i na czerwono farbowanemi brodami, powagą swoją i pięknosciami typów przypominali mi patryarchów, lub senatorów rzymskich.

Sama sala przyjęć ma charakter wschodni i nie odznacza się niczem szczególnem, chyba tem, że jest w niej przynajmniej ze sześćdziesiąt zegarów. Toteż trudno przychodzi wstrzymać się od śmiechu, gdy w chwilach milczenia na wszystkie strony rozlega się: „tik, tak, tik tak,” — zupełnie, jak w sklepie u zegamistrza. Przyczyna tego jest ta, że każdy nowo-przybywający angielski konsul przywozi sułtanowi w podarunku zegar, a że konsulowie, ze względu na klimat, często się muszą zmieniać i że każdy z nich myśli, iż to on pierwszy wpadł na pomysł ofiarowania sułtanowi zegaru, więc stąd z każdym rokiem zwiększa się liczba zegarów.

Po skończonej audyencji wyszliśmy również ceremonialnie z gmachu, ja jeszcze pozostałem czas jakiś, aby się przyjrzeć raz jeszcze nieregularnej armii sułtana i raz jeszcze spojrzeć na patryarchalnych notablów zstępujących ze schodów pałacowych z powagą egipskich kapłanów z opery „Aidy.”

(Ciąg dalszy nastąpi).

Matka uczy małą Zosię francuskiego języka i każe jej powtarzać za sobą słowa — la tete (głowa) les yeux (oczy) itd. Zosia powtarza tylko polskie słowa, dodając, niemam drugiej buzi.

JÓZEF GRAJNERT.

ŻYCIE ZA WIARĘ.

Opowieść przeszłości.

(Ciąg dalszy).

Udało się nareszcie Ludwikowi przebyć z wojskiem wszelkie trudności i niebawem znalazła się cała armia znowu w górzystej okolicy, przeciętej rzeką Lykus i pełnej tajemniczych wąwozów. Przybywszy tam, ujrzeli Francuzi, znużeni utrudzającymi marszami, że wszystkie wzgórza przed nimi, a wkrótce i za nimi zajęte były przez niezliczone chmary Turków. Nierozwaga jednego z dowódców, prowadzącego przednią straż, wydała prawie całe wojsko w ręce nieprzyjaciół. Zamiast bowiem czekać na umówione kroki, dopóki nie nadciągną inni, dowódca ten posunął się naprzód i pozwolił Turkom zająć w pośrodku pozycji Francuzów stromą górę. W ten sposób i książę Henryk, postępujący ze swym oddziałem na tyłach armii został od niej odcięty.

Wszyscy by bez ratunku tam zginęli, gdyby nie waleczność i przykład króla francuskiego i gwałtowne przerznięcie się naszych naprzód, nie uratowały głównego korpusu wojska.

Straty przecież, które Francuzi z oddziałem niemieckim ponieśli, były bardzo znaczne. Z naszych padło z koni dwóch rycerzy przy mężnem starciu z wrogiem. Pochowali i tych ze łzami w oczach ziomkowie we wspólnej mogile, na której krzyż utkwili i poszli dalej.

I w dalszym pochodzie przez kraj nieprzyjacielski, pustynny, tysiące padały z głodu i od miecza wrogów. Naszym popadały konie u paru wozów; mięso dobitych służyło im na smaczną potrawę. Na innych pozostałych jeszcze wozach złożono kilku ranionych Sandomierzaków.

Nie zbyt liczne wreszcie szczątki armii, po kilku dniach uciążliwego pochodu dostały się do pamiłskiego miasta Atalii; z drużyny księcia kilku wojaków, w tem trzech pechurów z ran, głodu i wycieńczenia umarło. Pochowano ich znowu na obczyźnie, zdala od ojczyściej ziemi...

Książę Witalis, sam mocno wycieńczony, udzielał im ostatniej pociechy religijnej.

W Atalii wojsko w jeszcze większą wpadło niedolę. Nie było okrętów, które Grecy obłudnie przyrzekli, środki żywności najgorszej trzeba było na wagę złota opłacać; powstał głód, wybuchły zaraźliwe choroby w mieście i obozie za miastem — i ci, co uszli strzał tureckich, marli teraz gromadnie nędną śmiercią.

Zmarło z nowu w ten sposób kilku z naszych; sam książę Henryk, a potem i Goworek i junak Zabałas z kolei wpadali w choroby; lecz przy łasce

Bożej i usilnych zabiegach księdza Witalisa wykaskali się jakoś.

Król Ludwik, zawarłszy z namiestnikiem greckim Atalii umowę, iż za sumę z góry mu zapłaconą wyprawi pozostałych krzyżowców do Cylicyjskiej krainy, do miasta Tarsu, a stamtąd okrętami przewiezie dalej już morzem do Antyochii, opuścił ze znakomitszymi baronami miasto niedoli i popłynął do tegoż masta.

Ludwik, udawszy się okrętem, dawno już przebywał w Palestynie, kiedy wojsko jeszcze ciągle walczyło z głodem i nędzą. Wreszcie bez greckiej pomocy, wyszedłszy z Atalii, wśród straszliwych utrapień, wśród zimnych chłódów i ulewnych deszczów, dziesiątkowane w oganianiu się Turkom, przebiło się ono po trzech miesiącach do Antyochii. A zatem przebywszy oklice, to górzyste, to przernięte pasmami gór i rzekami, znaleźli się Krzyżowcy w Syrii, blisko morza Śródziemnego. Lecz jakże jeszcze daleko było do Palestyny!

W tym męczeńskim Golgotowym pochodzie wojsko krzyża znosiło cierpliwie wszelkie kłęski, a i w drużynie polskiej nie było najmniejszego nawet na te biedy szemrania. Wszystkich krzepiła myśl, iż krwawe trudy i życie swoje poświęcają w obronie wiary, i tej Jerozolimy, w której tyle drogich dla duszy chrześcijanina pamiątek zostało!

W ten ustawicznym oganianiu się niewiernym padły i tychże tysiące, ale po za nimi gotowały się do boju na śmierć i życie nowe krocie, pobudzone fanatycznie wojowniczymi następcami fałszywego, mahometańskiego proroka. Zciegał się tu zmateryalizowany islam z idealnymi obrońcami krzyża świętego. Wynik dla tych ostatnich byłby niewątpliwie najpomyślniejszy, gdyby oprócz męstwa i pięści żelaznej panowała między nimi zgoda, karność, rozśadek i wogóle cnoty prawdziwie chrześcijańskie.

Francuzi, a z nimi garść Niemców i uszczuplona nasza drużyna, szli tymczasem dalej ku upragnionemu celowi, wciąż na południe.

Na wiosnę następnego 1148 roku dotarła wreszcie zmniejszona armia krzyżowców do nadmorskiego miasta Akkony, położonego już w głębi Palestyny. Już przeto i nasi rycerze stąpali po Ziemi Świętej, po ziemi, którą tak widzieć pragnęli!

W tym czasie i monarcha niemiecki Konrad przybył na cesarskim okręcie z Konstantynopola do obronnej Akkony, gdzie się spotkał z królem Ludwikiem i z bratem swoim Ottonem z Frelzyngemu, i gdzie się w koło niego skupiły resztki wojska niemieckiego.

Tu, w Akkonie, obaj ci monarchowie ułożyli z sobą wyprawę do nie zbyt daleko położonego, mocno obwarowanego Damaszku, stolicy Syrii, już wtedy w krainie tureckiej, gdzie się potężna armia mahometańska skupiła. Sułtan tej krainy, Togtekin,

zażarty nieprzyjaciół chrześcijan, staczał z królem Jerozolimskim ciągle boje i zagrażał Jerozolimie.

Wyprawa, do której, rzecz naturalna, i nasi polscy rycerze należeli, wyruszyła z Akkony w lipcu 1148 roku. Towarzyszył wyprawie ze zbrojnym oddziałem baronów i Baldwin III, 19-to letni, waleczny król Jerozolimski.

Potężny (minister sułtana, Anar, dobrze się przygotował w damasceńskiej twierdzy na przyjęcie 50,000 wojska trzech królów.

Zapał z obu stron był ogromny, junacy nasi wraz z książęcym wodzem swoim rwali się do boju z niewiernymi. Przed szeregiami chrześcijan niesiono krzyż święty, aby ich zagrzewać do boju. W obozie zaś muzułmańskim podobnie mułła turecki wznosił i potrząsał w górze egzemplarzem Koranu świetnie oprawionego.

Trzeba nieszczęścia, że chrześcijanie azyatyccy, potomkowie zdobywców Syrii i Palestyny, przekupieni przez mahometan, zamiast dać przyrzeczoną pomoc wojskową, dawali zgubne rady swoim współwyznawcom i pokumali się zdradliwie z mahometanami. Nie pomogło i lwie męstwo Konrada III, który podczas oblężenia miasta jednym zamachem miecza odciął pewnemu Turkowi głowę wrez z lewym ramieniem i lewą ręką; przeto po kilku atakach i szturmach chrześcijan, niepokojeni na tyłach, trzej królowie odstąpić musieli bez skutku z pod Damaszku, i rozbili namiot o godzinę drogi od tego miasta.

W czasie postoju przyszło do obliczenia strat w tej świeżej potrzebie. W drużynie polskiej okazał się brak Goworka i Stacha Zabałasa. Widzieli nasi w zamęcie bojowym, że obom strzały tureckie zabiły konie; lecz co się z nimi samymi stało, nikt nie wiedział. Zatręszczył się wielce książe zniknięciem swej prawej ręki, swego ulubieńca Goworka, i niemniej ulubionego Stacha.

Już było dobrze po północy, jakto nasi wyrozumieli z położenia gwiazd na niebie, gdy wśród drużyny sandomierskiej wszczął się nagły zgiełk. Wieść z ust do ust przechodząca oblała się o uszy Henryka, głosząc, iż Goworek i Zabałas wrócili.

Uradowany książe wysunął się na skraj swego obozu i wesoło przemówił do przybywających:

— Myśleliśmy, iż zgineliście; wracacie jakby z tamtego świata! Ale cóż to, Goworku, ranionys?

— Tak jest. miłośniwy książe — słabym głosem odpowiedział z konia zapytany, który miał głowę pozbawioną hełmu, przewiazaną jakąś białą, nieco skrwawioną szmatą. — Jakiś rozwścieczony Turek w zamęcie bitwy rzucił we mnie dzirytem niespodzianie, trafił mnie ostrzem w czoło tak, że ściemniło mi się w oczach, zemdlałem i zsunąłem się z konia na ziemię.

— Lecz dlaczegóż nie siedzisz na własnym koniu? — zapytał książe, ciekawie oglądając pięknego,

anatolskiej rasy rumaka siwego — rzed na koniu, widzę, turecki, bogaty? Skądżeś przyszedł do niego?

— To cała opowieść — odpowiedział Goworek — Stach był przy wszystkim; on najlepiej miłościwemu księciu opowie... ja bowiem osłabiony jeszcze jestem, trudno mi dłużej mówić.

Henryk zwrócił się do Stacha, a dostrzegłszy, gdy podszedł zbliska, iż ma na głowie bogaty, zielony zawój i kaftan jedwabny, jak istny Turek, parsknął śmiechem i zapytał:

— Cóż znaczy ten bisurmański zawój na głowie twojej i ta turecka kapota, mój Stachu?

— Było to tak, proszę księcia gospodyna — odrzekł Zabałas — po tym ostatnich szturmie, gdyśmy od murów Damaszku odstąpili, strzała turecka ugodziła mego konia przy łopatce w brzuch, znać,



STANISŁAW WYSPIAŃSKI,

Pisarz i artysta malarz, umarł 28 listopada, 1907 roku.

w samo serce tak, że ten zachwiał się, upadł i przygniół mi nogę lewą swem cielskiem, że się i ruszyć nie mogłem. Wtem jakiś, oddział jazdy tureckiej pognął w tę stronę, gdzie ja leżałem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DOWCIPNY FRANUŚ.

Małemu Franusiowi kupił ojciec album królów polskich i malec wkrótce znał dokładnie postacie wszystkich królów. Stryj jego chciał się o tem przekonać i wskazał mu na jednego i zapytał, jak się nazywa: „Michał Korybut” była odpowiedź. Po przewróceniu kilku kartek wskazał powtórnie na ten sam portret i zapytał: a ten: „Wiśniowiecki” zawołał z dowcipną miną mały Franuś. — Oby wszystkie dziatki były tak dowcipne i znały królów polskich tak dokładnie.

NAD KOŁYSKĄ.

„Dziecino, nie płacz! nie!
Rozjaśnij swoją twarz,
Dopóki matkę masz
Nie może ci być źle,
Na mojem oprzyj się łonie,
Ja cię przed bólem zasłonię,
Dziecino, nie płacz, nie!

Chowaj na później łzy!
Dziś jeszcze Anioł Stróż
Girlandą białych róż
Okala twoje sny,
Na tkance marzeń pajęczęj
Maluje kolory tęczy,
Chowaj na później łzy!

Bo przyjdzie inny dzień,
W którym, o synu mój!
Napotkasz tylko znój,
Zamiast rozkoszy tchnień;
Zdrada ci oczy otworzy,
Nieufność ducha zuboży,
Bo przyjdzie inny dzień.

Na taki życia zmrok,
Rozbicia straszną noc,
Zachowaj ducha moc
I jasny dziecka wzrok,
Niech ci wspomnienie kołyski
Przyniesie matki uściski
Na taki życia zmrok!

Pomimo gorzkich prób
Zawsze, ach! dobrym bądź!
Z miłością drugich sądz
I patrz z nadzieją w grób,
Nie zatrać dziecinnej wiary,
Nie żałuj swojej ofiary,
Pomimo gorzkich prób.

O, nie mów, dziecię me!
Że marny życia trud,
Że wszystko fałsz i brud,
A prawdą tylko złe;
Że trzeba wątpić i szydzić
Pogardzać i nienawidzić,
O, nie mów, dziecię me!

Na matkę wspomnij swą,
Na miłość, co bez plam,
Zwątpieniu zadaj kłam
I obmyj duszę łzą,
Wierz w piękność ducha słoneczną,
I w miłość, która jest wieczną,
Na matkę wspomnij swą”.

Chwała na wysokości Bogn.

Był to dzień Wigilii, ciemny i ponury, jak wszystkie dni tej pory. Czarne chmury zwieszały się nisko, nad światem zapanowała cisza, gdyż leżący grubą warstwą śnieg tłumi wszelki odgłos. Jedyne wirujące w powietrzu płatki spadającego śniegu ożywają atmosferę i nadają jej wygląd wesoły, niemal figlarny.

Na ulicach miasta B. panuje ruch ożywiony. Ludzie zdążają pośpiesznie w tę i w ową stronę, na wszystkich twarzach widać ożywienie i wyraz jakoby radosnego a tajemniczego oczekiwania.



JANEK LEŻAŁ CIĘŻKO CHORY.

Ulicą fabryczną zdąży do domu pan Jakób Molinek, maszynista. Śpieszy się także, lecz napróżno — byś szukał w twarzy jego świątecznego, radosnego wyrazu. Oczy jego bystre spoglądały zimno prosto przed siebie, a znajdująca się pomiędzy nimi głęboka bruzda nadawała twarzy wyraz zaciętości.

Pan Jakób idąc śpiesznie z rękami w kieszeniach paltota, nie zwracał najmniejszej uwagi na przechodniów i bezwzględnie potracał o paczki i zawiniątka, odbierając w podzięcie niechętnie spojrzenia, albo mrukliwe uwagi. — Wiadomo przecież, że zakupna świąteczne wymagają szczególnej ostrożno-

ści i pieczołowitości — jak nie, można nogę utracić drewnianemu koniowi, albo też i głowę rozbić jakiej wystrójonej lalce. Lecz pan Jakób nie miał zrozumienia dla tego rodzaju uczuć i nastrojów świątecznych. Widok obładowanych paczkami matek i ojców wywoływał drwiący uśmiech na jego usta, a nawet, gdy w jednym z okien ujrzał pierwsze „Boże drzewko” jaśniejące, mruknął z pogardą: „głupcy! Pan Jakób nie wierzył w te „szopki.” Dobrze to dla starych bab i dzieci, ale człowiek dojrzały, oświecony nie idzie na lep „księżych bajek.” Świąta, owszem, być muszą, bo człowiek nie bydlę, żeby cały rok bez przerwy pracował, ale poza tem żadnych legend o Betleemach, stajenkach itd. pan Jakób nie uznawał.

Jeżeli dziś p. Jakób osobliwie śpieszył się do domu, to bynajmniej nie dla jakiejś tam „gwiazdki”, drzewka lub wieczerzy wigilijnej z nieodłącznym opłatkiem. Całkiem inna ku temu była przyczyna.

Oto synek jego ukochany, Jaśko jednak, ciężko leżał chory. Lekarz stwierdził niebezpieczny, złośliwy krup i na dziś właśnie zapowiedział przesilenie. Dobry, serdeczny człowiek ten dr. K. Kiedyś obydwał na jednej ławce, jak to mówią, siedzieli, później życie ich rozłączyło: kolega poszedł wyżej ścieżką naukową, on, Jakób, jął się młota, i dziesięcioma palcami wykuł sobie stanowisko w życiu.

Nie zazdrościł koledze z lat dziecięcych bynajmniej! Nie wszyscy przecież mogą być doktorami, a on nienajgorszy jeszcze los wyciągnął na loteryi życia — innym gorzej jeszcze bywa. On ma chleb dostatni, żonę hożą, kochającą i syna.

Jasiek jego najmilszy! Zebyć tylko przetrzymał chorobę! Dr. K. zajął się nim gorliwie, żona nie odstępowała chorego dziecka na chwilę, z tem wszystkim jednak —

Lecz nie, to być nie może nigdy! Tyle przecież dzieci przechodzi krup szczęśliwie, dlaczegożby Jasiek właśnie — — —

Kiedy przed kilku dniami dziecko zachorowało, Jakób prawie rad był temu. Z niechęcią patrzył on na to, gdy żona trzyletniemu dziecku opowiadała o narodzeniu Dzieciątka, jak nowinę tę chóry aniołów zwiastowały światu, jak pastuszkowie z pokłonem dążyli do Betleem, i jak z tego powodu "Gwiazdka" schodzi z nieba do grzecznych dzieci. Jakób widząc, jak dziecko z szeroko otwartymi oczyma słucha tych opowiadań, nie miał serca zakazać tego żonie i z niechęcią myślał o zbliżających się Świętach. Przewidywał burze, płacze i gniewy, jeżeli nie pozwoli na urządzenie "głupstw świątecznych," a pozwolić na to wbrew przekonaniom! O nie! Syn jego nie będzie wychowywał się na "kleroła", świętoszka; trzeźwo wysłać i czuć przyzwyczajenie się musi od młodości.

Więc Jakób nie martwił się, gdy dziecko zachorowało. Odechce się żonie — myślał — urządzania "Gwiazdki," a na przyszły rok, to już jego rzecz w tem, aby chłopak sam już nie wierzył w żadne anioły, dzieciątka itd.

Byle tylko Jasiek wyzdrowiał — — —

Krew napłynęła Jakóbowi do serca z niepokoju. Ostatnie kilkadziesiąt kroków przebiegł pędem prawie, w kilku susach przeskoczył schody i wszedł do mieszkania.

Przysłonięta lampa rzuciła słabe światło na pokój i Jakób z trudnością spostrzegł, że dr. K. nachylony stoi nad łóżeczkiem, z natężeniem wsłuchując się w rżący oddech dziecka. Żona klęczała przy łóżeczku z twarzą, ukrytą w dłoniach.

Jakób nie mógł słowa wymówić, jęk tylko cichy wydobył się z jego piersi, gdy zobaczył bladą twarzyczkę Jaśka.

— Uspokój się pan — rzekł doktor powstając — zrobiłem wszystko, co było w mej mocy i co wskazuje nauka, resztę pozostawmy Bogu, On jest dobry i wszechmocny! Dziecko w tej chwili zasnęło, jeżeli sen potrwa dłużej, chłopiec będzie uratowany. Jutro zaraz z rana znów przybędę; teraz pora mi wracać do domu, gdzie oczekuje mnie rodzina z Gwiazdką.

Doktor wyszedł. Anna podniosła się z klęczek, aby mężowi przyrządzić posiłek, lecz Jakób tylko ręką skinął, że jeść nie będzie. Gardło miał poprostu

ściśnione z żalu i smutku. Podeszedł do okna i czoło oparł o zimną szybę.

— Że też nawet ten doktor — myślał z goryczą — człowiek przecież uczony mógł go pocieszać podobnym frazesem: Bóg jest dobry! Czy widział kto kiedy Boga, zstępującego na ziemię, aby pocieszać smutnych, ratować konających?

Jakób drgnął.

Więc i jego syn umrze? nie go uratować nie zdoła?

Błędnym wzrokiem potoczył dokoła. Jasność biła ze wszystkich okien, z przeciwka dochodzi nuta pieśni: "W żłobie leży, któż pobieży kolędować Małemu."

Dźwięki pieśni budzą w piersi Jakóba echa z lat dzieciństwa.

I on kiedyś wraz z rodzicami i rodzeństwem kolędował małemu i dziś jeszcze odczuwa, jak drgało mu wówczas serce miłością ku maleńkiemu Dzieciątku, co w stajni leżało na sianku w towarzystwie bydła.

A jego syn, Jasiek — nigdy już kolędować nie będzie? nigdy już oczki jego nie błysną radością na widok "Gwiazdki."

— Jezu — jęknął — ratuj mnie! Nie zabieraj mi dziecka!

I dusza Jakóba rozplynęła się w żalu — całą istotą swą rzucił się do stóp Jezusa.

Bóg jest dobry.

Jak długo stał Jakób pogrążony w myślach, sam nie wiedział — zapomniał o wszystkim, co go otaczało, czując tylko jedno pragnienie; odrodzić się i odżyć w wierze i wraz z żoną i synem wielbić odtąd Boga.

Wtem cichy płacz doszedł uszu jego. Jakób drgnął i rzucił się do łóżeczka Jasia.

Dziecko patrzyło na niego smutnie, lecz — przytomnie.

— Tatusiu — szepnął Jasio — czy Gwiazdka przyjdzie do nas? Dzieciątko Jezus śpi w stajence — aniołki mu śpiewają.

— Tak synu — Jakób przemocą tłumił głos, aby nie krzyknąć z radości — przyjdzie Gwiazdka, bo Bóg jest dobry i tatuś Go kocha, tak, jak i ty — śpij spokojnie, dziecko.

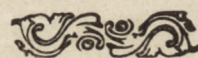
Jasiek oczęta zmrzążył i wnet równy jego oddech świadczył o powracającym zdrowiu.

— Chwała Bogu! — szepnęła żona.

— Tak żono kochana — "Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!"

W tej chwili rozległ się głos dzwonów, wołający na Pasterkę.

J. O.



MACIERZ POLSKATYGODNIK POWIEŚCIOWO-ILLUSTROWANY
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

wychodzi co czwartek, każdego tygodnia

Adres redakcyj: **MACIERZ POLSKA,**

51 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOIS

Prenumerata roczna wynosi \$1.00. — Pojedynczy numer 3 centy
lub miesięcznie 10 ctAdres administracyi: **MACIERZ POLSKA,**

141-143 W. DIVISION STREET. CHICAGO, ILL.

MACIERZ POLSKA

AN ILLUSTRATED WEEKLY FOR CHILDREN AND YOUNG PEOPLE

Issued at Chicago every Thursday.

Editor's address: **MACIERZ POLSKA,**

51 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOIS

Subscription \$1.00 a year or 10 cents a month. Single copy 3 cents

Address of Business Office:

THE POLISH PUBLISHING CO.

Publishers of

MACIERZ POLSKA

141-143 WEST DIVISION STREET, CHICAGO, ILLINOIS

CHOINKA.

Rosła swobodnie na rubieży boru i ani nie spodziewała się, jaki czeka ją koniec. Młodej nie pouczyły o tem sosny i jodły, od których się wywiodła; nie wyśpiewały przepowiedni czyżki i sikorki, zalatujące tak często w czasie skwaru w cień jej gałązek.

Aż raz topór ugodził nagle w podrastające drzewko i odłączył biedactwo od korzeni. Na szczęście miała w młodym pieńku podostatkiem nagromadzonych soków. — tedy przetrwawszy ból, żyła dalej, choć jej dziwnie było to samej, jak żyć bez szmeru lasu, gwary głodnego ptactwa i widoku chat sterczących ze śniegu gdzieś daleko na widnokręgu.

Zawieźli choinkę do miasta, wetknęli w położony na płasko krzyż drewniany ustawili prościuteńko i zewsząd głos było słycać: Jaka ładna!

— No, pomyślała! Dlatego nie warto jeszcze opuszczać rodzinnej pieleszy! Co mnie po komplimentach?

Stała tak dwa, czy trzy dni. Nareszcie znalazł się nabywca. Powędrowała na razie do piwnicy, aby dzieci nie zobaczyły choinki przedwcześnie. O, jak smutno tu było w mroku i zadusze jej, wetkniętej w stertę kartofli, opartej o beczułkę z kapusty, która nawet wonie żywicy przytłumiła swym niemłym wyziewem.

Ale w nocy wydobyto choinkę z więzienia i przyniesiono do dziecka pokoju. No, tu już inna sprawa: przestronno, ciepło, jasno. Dwie postacie, jakiś mężczyzna i kobieta — pewne państwo domu, umieścili drzewko na honorowym miejscu w samym środku komnaty. Z tajemniczą miną nadsluchując, czy za drzwiami sąsiedniej izby nie ozwie się głos dzie-

ci — wydobywają z kosza najrozmaitsze świecidełka, złoczone orzechy, owoce, łakocie, zabawki, barwne łańcuszki z papieru, świeczki i wszystko to nuże przymocowywać do gałązek! Ejże, czy tylko gałązki wytrzymają ciężar? Wytrzymają!

Nad samem dopiero ranem ukończono robotę. A potem stała choinka przez dzień cały w zamknięciu i nikt nie zajrzał do niej. Widziała tylko w dziurce od klucza kilka razy, coś naksztalt błysku żrenie ciekawych.

Stojąc tak, myśli, że przecież to wszystko bardzo dziwne! Bo po co taki ornat najrozmaitszych ozdób, jeśli nikt nie ma go podziwiać?

Ale gdy gwiazdy w wieczór wigilijny zabłysną na niebie, gdy zapłoną te na choince umocowane świeczki i gdy przez drzwi nagle rozwarte, przy dźwięku dzwonka, wpadnie dziatwa — zrozumie choinka cel do jakiego ją przeznaczono. I widząc rozpromienione szczęściem buzie, słysząc szczebiotanie młodych głosików, weselsze nawet od świergotu sikorek, a potem, słysząc majestatyczne, to znów skoczne, prawie puste melodye kolendy, — może nawet żałować nie będzie, że porwano ją z kniei. Bo obaczy i uczuje, że po jej objuczonych i pałających gałązkach myśli drobiazgu ludzkiego skaczą jak ptaszęta coraz wyżej i wyżej, aż w otwartą dla nich tylko bramę niebios.

Czy zwyczaj ubierania choinki mamy od Niemców?

Do niedawna jeszcze uczeni nasi badacze spierali się o to, skąd, z których stron i od kiedy zwyczaj choinki wszedł w życie u nas. Dopiero uczony Oskar Kolberg, który przeszedł Polskę całą i badał zwyczaje ludu, dowiódł niezbicie, że ubieranie choinki jest zwyczajem odwiecznym u naszego ludu i to w okolicach takich, dokąd nigdy nie dochodził wpływ obcych. Zwało się to ubieraniem sadu.

“Sadem — pisze dosłownie Kolberg — nazywają wierzchołki sośniny, zdobne w jabłka, orzechy i pierniki, a zawieszane u sufitu (powały) izby. Choinka ta wisi aż do św. Szczepana, wtedy obrywają zawieszane na niej ozdoby i łakocie. Podczas obrywania podkradają się parobcy, pragnąc też coś uszczknąć — panuje tedy przy tem obrywaniu wielka uganianeczka.”

Jest to zatem zwyczaj swojski i wspólny tak chatom jak i pałacom. Wszędzie choinka roztacza jakiś blask tajemniczy, który pozwala zapomnieć na chwilę o troskach życiowych, a marzyć o szczęściu, o wiosnie i niezamąconym niezem pokoju.

JUŻ POTEM.

Mały Józio prosi o coś mamę, która zajęta odziedziczyła: Potem dostaniesz, teraz nie można. Odszedł chłopiec, ale w parę minut wrócił i mówi: „Mamo, już jest potem.”

Noc święta

Z podań Górali Karpackich.

W judzkiej krainie — koło Betlehemu, w ciepłą noc grudniową, leżał przy płonącej wotrze dziki juhas wśród kierdela uspionych owiec i dumał o zeszłorocznych przygodach zbójcekich. Trzeba bo-

W tem zobaczył w pomroce nocnej postać człowieka, zmierzającą ku jego wotrze.

— Po kiego licha ten się po nocy włóczy?? z czem i za czem się tu do mnie zapędza?... .

A człowiek szedł śpiesznie. Czujne psy zwietrzywszy obcego, rzuciły się z głośnem ujadaniem ku niemu i byłyby go rozszarpały z pewnością, gdyż był to



ŚW. STANISŁAW B. I M. WSKRZESZA PIOTROWINĘ.

Obrazek pędzla artysty malarza Jana Bulasa, którego fotografia umieszczona obok obrazu.

wiem wiedzieć, że niekiedy w judzkie góry na zbój wychodził, zastępował drogę pielgrzymom zdążającym do Jerozolimy, i grabił ich, a broniących się zabijał. Tak dumając leżał zapatrzony w gwiaździste niebo, a ogromne brytany pilnowały owieczek przed wałęsającymi się pojedynkiem tam i sami wilkami.

gatunek psów srogich i zajadłych, ale o dziwo, w jednej chwili odskoczyły od niego i łaszac się jak do znajomego, odprowadziły go aż do owiec gromady. Te jednym zbitym tłumem leżały jedna przy drugiej; ani rady, dostać się przez nie ku wotrze.

Człowiek jednak przeszedł wierzchem po nich,

po grzebietach uspionego stada, nie przebudziwszy żadnej z owieczek.

Zdziwił się juhas, a pomyślawszy, że to pewno czarownik, rzucił weń ciupagę. Mierzył w głowę, atoli ciupaga wstrzymała się w pół drogi i padła do stóp przybysza, który przystąpiwszy do dzikiego pasterza, pocznie go prosić:

— Miły baco! użyźcie mi też kruszynkę ognia! Oto niewiasta, zwierzona mej opiece, porodziła dzieciątko, a nie mam go czem ogrzać, ani jak — ognia rozniecić. Ani hubki, ani krzesiwa, ani chrustu, cełtyny, ani suchej gałązki nigdzie dostać nie mogę. Dajcież wy mnie choć tych parę jarzących się węgielków!...

— A, weź ich sobie, ile chcesz!...

Przybysz wybrawszy gołemi rękami kilka garści rozjarzonych węgla z ogniksa, włożył je w połę sukmany i podziękowawszy pasterzowi, odchodził. Jak przybył — po wierchu stada.

Tedy owczar zdziwiony tem, co widział, zapyta:

— Hej, ty człowieku, a cóż to za jeden, że się ciebie ani psy nie czepiają, ani siekiera nie ima, ani ogień — w dłonie brany — nie parzy?! Czarownik ty?... czy — Święty?...

Na to odchodzący rzekł mu tylko:

— Pójdź za mną, a dowiesz się!

Pasterz ciekawością zdjęty, poszedł tedy za nim, aż do głębokiej pieczary w skale, gdzie ujrzał niewiastę młodą, tulącą do piersi malusiętkie dziecię, od którego padał blask dziwny w około i rozświecał chropowate ściany jaskini.

— Kiedy tu ale chłodno — pomyślał — a to niemowlątko uswiarknąć tu może razem z matką na chłodzie! I poruszyło się twarde serce w piersiach zdziwiałego juhasa: zdjąwszy serdak owczy ze siebie otulił nim oną dziecięcę.

Ledwie spełnił ten litościwy uczynek, otworzyły się oczy jego i zaraz też pojął, czego pierwiej zrozumieć nie był w stanie, i ujrzał i usłyszał — czego ani nie dostrzegł, ani też nie słyszał tu wchodząc.

Ujrzał oto tłum aniołów w jaskini i usłyszał słodkie śpiewy tych nieba mieszkańców, wielbiących tę oto małą Dziecię — Jezusa, Który

*Będąc Synem Najwyższego
Nie miał miejsce godniejszego
Swojej Osobie...*

jak to głosi kołęda.

Więc wzruszyło się serce tego owczarza jeszcze bardziej; padłszy na kolana, uwielbił Boga w tej Dziecinie maleńkiej i odszedł lepszym, niż tu przybył.

Boże Dziecię odmieniło dzikie serce juhasa...

SYGNAŁOWE TRĄBKI KOLEJOWE.

W ostatnim czasie wydarzyło się kilka katastrof kolejowych, z tego powodu, że prowadzący pociąg

ładź z powodu mgły, ładź z powodu ciemności, a wreszcie nieuwagi nie spostrzegł sygnałów, polecających mu wstrzymanie pociągu. Ze względu na to pruski zarząd kolejowy rozpoczął na linii kolejowej z Berlina do Szczecina szereg prób, które mają na celu zwiększenie bezpieczeństwa. Przedewszystkiem postanowiono zastosować w tym celu trąbki sygnałowe, skonstruowane przez jednego z pruskich inżynierów kolejowych. Trąbki te wydają głos przy pomocy aparatu elektrycznego, poruszanego z najbliższej stacji. Umieszcza się je na słupach wysokości trzech metrów od siebie, tak, że otwory, którymi się głos wydobywa, są skierowane w stronę nadjeżdżającego pociągu. Ponieważ jest ich zawsze kilka obok siebie, więc gdyby maszynista nie dosłyszał trąbienia pierwszej, musi zwrócić jego uwagę druga, lub trzecia trąbka. Wyniki prób są podobne bardzo zadowalające, wobec czego zarząd kolejowy zamierza zaprowadzić je i na innych liniach pruskich.

BEZ RODZINY.

WEDŁUG POWIEŚCI
H. MALOT'A.

Ciąg dalszy.

— Czy nie znasz miejscowości naszego kraju i wiesz, co w nich zasługuje na uwagę?

— Nie, nikt mi nigdy o tem nie mówił — odpowiedziałem.

— A zatem cóż ci z tego przyjdzie, jeżeli ci powiem, że idziemy do Paryża lub ku Pirenejom? Dla ciebie będą to tylko wyrazy, gdyż nie wiesz, czem są te miejscowości i z czego słyną.

— A pan zwiedził te miejsca? — zapytałem znowu.

— Nigdy tam nie byłem.

— A jednak pan wie, gdzie idziemy i zapewne wie coś ciekawego o tych miejscowościach.

— Zapewne, wiem o nich dużo rzeczy. A czy odgadujesz, skąd się o nich dowiedziałem?

— Nie wiem, — odrzekłem — pomyślawszy chwilę.

— Otóż dowiedziałem się wielu zajmujących rzeczy o okolicach naszego kraju, z różnych ciekawych książek. Tak, że idąc teraz do jakiejś nieznannej miejscowości, wiem, jaką jest i z czego słynie.

— To musi być bardzo przyjemnie dowiadywać się z książek, o rzeczach, które nas zajmują — zauważyłem.

— A ty nie umiesz czytać? — zapytał.

— Nie.

— A czy chciałbyś się nauczyć?

— O, bardzobym tego pragnął!

— Jeżeli chcesz, to będziesz się uczył.

— Jakto? odda mnie pan do szkoły — pytałem zdziwiony.

— Nie, sam cię nauczę.

Po tem powiedzeniu myślałem, że wyjmie książkę z torby, którą zauważyłem u niego i zacznie pokazywać mi litery. Tymczasem Witalis wcale nie zajrzał do torby, tylko rozglądał się dookoła, jak gdyby upatrywał czegoś potrzebnego mu. Po parogodzinnej wędrówce podjął on na skraju drogi leżącą niewielką i dość cienką deszczukę. Otrząsnąwszy ją z kurzu, pokazał mi ją i rzekł:

— „To będzie twój elementarz.”

Obejrzałem uważnie deszczukę, na której nie było żadnego znaku i śmiejąc się odpowiedziałem:

— Pan pewnie ze mnie żartuje!

— Zaraz się przekonasz, że mówię to zupełnie poważnie — odpowiedział, wyjmując nóż z kieszeni i rozłupując deszczukę na małe kwadraciki, jednokowej wielkości.

Następnie począł wycinać na kwadraciku znak jakiś.

Przypatrywałem się tej robocie z wielkim zajęciem, a on wyrzynając znak ten na drzewie, rzekł mi:

— To jest litera: A, pierwsza w alfabecie.

Następnie na każdej deszczuce z osobna wycinał inny znak i uczył mnie nazwy litery. Po paru dniach miałem pełne kieszenie tych kwadracików, wiedziałem, jak się nazywa każda litera, ale do umiejętności czytania było jeszcze daleko.

Zdarzały się nawet chwile, w których żalowałem, że zapragnąłem uczyć się czytać, bo nieraz czułem się boleśnie upokorzonym. Witalis sądził, że kiedy Kapi zdoła nauczyć się rozpoznawania godzin na zegarze, to będzie też mógł nauczyć się czytać.

Stało się więc tak, że miałem dziwnego szkolnego kolegę — psa. Ponieważ Kapi nie mógł wymówić litery, nauka więc jego odbywała się w ten sposób, że wskazywał on łapą tę literę, którą wymawiał nasz nauczyciel. Naturalnie czyniłem znacznie szybsze postępy, niż Kapi, ale zdarzyło się kilka razy, że gdy przez nieuwagę lub lenistwo odpowiadałem źle, pies, który nauczył się już raz czegoś, poprawił mnie. Wówczas Witalis głosem wymówki, mówił mi:

— Kapi nauczy się czytać prędzej, niż ty.

I pies, jak gdyby rozumiejąc tę tak pochlebną dla siebie uwagę, kiwał radośnie ogonem.

— Głupszy niż pies, to dobre w komedii, ale w rzeczywistości, to wstyd ogromny — ciągnął mój opiekun.

Do żywego czułem się dotknięty takimi uwagami i, zawstydzony, przykładałem się szczerze do nauki, tak, że w parę miesięcy nauczyłem się doskonale czytać, podczas gdy Kapi zdołał tylko, z czterech liter, składających jego imię i w niepo-

rządku rozłożonych na murawie — ułożyć wyraz Kapi.

Nauka czytania kosztowała mnie sporo pracy, ale przyniosła mi też dużo przyjemności i korzyści. Z jakim zadowolaniem i dumą odczytywałem obecnie napisy wydrukowane na szyldach magazynów miasteczek, przez które przechodziliśmy wówczas. Często brałem gazetę do rąk i z poważną miną zasiadałem do czytania.

Gdy się nauka czytania skończyła, Witalis rzekł do mnie.

— Skoro umiesz już czytać i trochę grać na skrzypcach, to trzeba, żebyś się jeszcze nauczył czytać nuty.

— A gdy się nauczę czytać nuty, to czy potrafię śpiewać tak, jak pan?

— A czy chciałbyś tak śpiewać? — zapytał Witalis.

— O, tak pięknie, jak pan, to chyba nie będę mógł nigdy — opowiedziałem.

— A czy mój śpiew podoba ci się?

— Bardzo mi się podoba — odpowiedziałem żywo. Śłowik pięknie śpiewa, ale ja wolę słuchać pana. Gdy wesołą zaśpiewa pan piosenkę, to aż serce skacze mi z radości, a gdy na tęskną zagra pan nutę, to staje mi przed oczami wioska rodzinna i chata nasza, i matka Barbara płacząca, smutna. Wówczas zdaje mi się, że ucieknę od pana i pójdę na kraj świata, żeby ją pocieszyć, ale mnie i pana szkoda, dodałem śmiało.

Wówczas Witalis ujął mnie za rękę i uściśnął mi ją serdecznie. Dziwnie jakoś słodko mi się zrobiło na duszy. Nachyliłem się i pocałowałem starca w rękę.

Odtąd czułem, że oprócz matki Barbary, jeszcze kogoś drugiego pokochałem serdecznie.

8. CZŁOWIEK O SIĘDMIUŁOWYCH BUTACH.

Długi czas wędrowaliśmy po pustych, nieurodzajnych stepach, tylko zdarzające się kępy sosen urozmaicały widok. Nędzne wioski, nieczęsto spotykane po drodze, mały dawały zarobek. Witalis narzekał, przyspieszał kroku i obiecywał, że wkrótce ujrzymy bogatą krainę. Jakoż pamiętam, jak dnia pewnego weszliśmy w dolinę, pełną świeżej zieleni. Środkiem przepływała szeroka rzeka, tocząc leniwie wielkie swe wody. Most śliczny, lekkiej budowy przerzucony przez rzekę. Zdała widniało miasto, był tam stary klasztor, dużo rowów, wałów fortecznych, wież, a wszystko to, otoczone wieńcem krzaków, w których świergotało ptastwo. Takie widoki przypominają mi się, jak ze snu zapamiętane. Dobrze jednak utkwіło mi w pamięci miasto, rozłożone nad szeroką rzeką Garonną. Przypominam sobie, jak dziś, rezległy i wspaniałe widok na rozpościerające się poza rzeką ogromne miasto. Mnó-

stwo dachów, dzwonnice i mniejszych lub większych kominów, rozpościerało się, jak daleko okiem sięgnąć — łącząc się przy końcu widnokregu z błękitem nieba i białymi chmurami. Co tam było domów! a co kominów! Niektóre z nich były nadzwyczaj wąskie i te najwięcej wyrzucały dymu. Witalis objaśnił mnie, że to były kominy wielkich fabryk. Wzdłuż całej rzeki snuły się też łódki, statki, i większe okręty, których wysoko sterczące maszty, liny i żagle stanowiły istny las poplątanych słupów i sznurów. Gdzieś tam powiewały różnokolorowe chorągwie. A ponad tem wszystkiem wrzały i huczały kotły żelaznych maszyn, stukwały olbrzymie młoty, turkotały koła niezliczonych wozów, dorożek i gwar tłumu rozmawiających ludzi unosił się po nad tem ludnem miastem.

Widok tak dużego miasta ogłuszył mnie i obezwładnił. Stałem niby wrośnięty w ziemię z szeroko rozwartemi oczami.

— To wielkie miasto, które cię tak zadziwia, nazywa się Bordo — objaśnił mnie Witalis.

I zaczął mi opowiadać wiele ciekawych rzeczy o tych niezliczonych statkach, które przypływają z ogromnego oceanu i przywożą mnóstwo przeróżnych towarów. Słuchałem z uwagą i dowiedziałem się wielu wcale mi nieznanych rzeczy.

W Bordo przebywaliśmy przez czas trochę dłuższy, gdyż w tem dużym mieście mogliśmy coraz w innej dzielnicy dawać przedstawienia. Ale i tutaj pewnego dnia ujrzeliśmy parę osób ze zniechęceniem odchodzących od naszego sznura.

— Znamy już te psy i małpę. Powtarzają one ciągle jedne i te same sztuki? — mówili ci ludzie do siebie, nie rzuciwszy nam w skarbonkę ani grosza.

Dnia tego po skończonem przedstawieniu spakowałem nasze tłumoczeki i znowu wyruszyliśmy w świat. W parę godzin potem byliśmy na rozległym polu, a wielkie miasto pozostało za nami, jakby mgłą pokryte. Żał mi było tego dużego, pięknego miasta z jego prześlicznymi domami i sklepami, z jego wesołem, gwarnem życiem. Smutno zrobiło mi się na duszy, bo pomyślałem sobie, że ten siwo-włosy starzec i ja, dziecko, nie mamy nigdzie kąta, który nazwalibyśmy naszym domem. Nawet ptak najmniejszy ma swoje gniazdko, a my ludzie, mielibyśmy zostać na zawsze takimi jak dotąd bezdomnymi tułaczami?

Stanęła mi przed oczyma, jak żywa, matka Barbara i łzy zakręciły mi się w oczach.

— Patrz, co za pyszne winnice! — zawołał nagle Witalis.

Podniosłem oczy i ujrzałem cały szpaler krzewów posadzonych wzdłuż muru. Krzaki te, o ząbkowato wycinanych liściach, przeciążone były ogromnymi gronami zielonych jagód. Liczne paliki umie-

jętnie podtrzymywały olbrzymie grona, na gałęziach widać było cięcia, któremi uwolniono roślinę od niepotrzebnych pędów; u dołu każdy krzaczek był opielony i miał ziemię naokoło zruszoną. Wogóle na każdym kroku widniała wielka pracowitość i staranność około uprawy tej rośliny. Zbiór zapowiadał się też świetny, dzięki tylko podpórkom, gałęzie nie łamały się pod ciężarem obfitego owocu. — Z winnic tych wyrabiają doskonałe wino, słynne na cały świat — zauważył Witalis.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KRONICZKA TYGODNIOWA.

16 grudnia.

W Królestwie Polskim rząd rosyjski dopuścił się nowego gwałtu: gubernator warszawski, Skalon, rozwiązał Polską Macierz Szkolną, wskutek czego 1600 szkół, założonych i utrzymywanych przez tę narodową organizację, zostało zamkniętych, a dziesiątki tysięcy polskich dzieci zostało pozbawionych możności pobierania nauki. Z funduszy, złożonych przez cały kraj, a także i przez amerykańską Polonię, zdołano uratować przed konfiskatą i wywieść za granicę około \$150,000.00.

Nowa eksplozja w kopalni wydarzyła się w powiecie Tuscoloosa Ala. i znów przeszło 70 górników utraciło życie.

Wskutek trzęsienia ziemi w okolicy Ely, Nev. zawalił się ganek w kopalni i zatamował wejście do niej, uwięziwszy w ten sposób pracujących w niej górników. Uwięzionym spuszczano rurą parową mleko i drobne kawałki chleba.

W Persyi powstały rozruchy z przyczyny, że część mieszkańców nie chce konstytucyi.

17 grudnia.

W St. Joseph, Mo. bawiący się w Indyan 11 letni Ned Starmer wyniesioną z domu nabitą dubeltówką jednym wystrzałem zabił chłopca, towarzysza zabawy.

W Petersburgu, Rosya — wydano bardzo ostre wyroki na socjalno-demokratycznych posłów z b. drugiej Dumy.

Z Paryża, Francya — doniosły telegramy o wielkich burzach, które tak na morzu, jak i w całym kraju zrzędziły bardzo wielkie szkody.

18 grudnia.

Z Fort Monroe, Va. admirał Evans, żegnany przez p. Roosevelta i tysiące ludzi, wypłynął ze swoją flotą z zatoki i udał się w podróż na ocean Spokojny.

Na ostatnim konsystorzu papież mianował kilku kardynałów i dwóch amerykańskich biskupów.

19 grudnia.

Henryk Siekiewicz wydał otwarty list do wszystkich narodów, które wzywa, aby się ujęły za Polską i potępiły Prusaków za ich nieludzkie postępowanie z Polakami.

W okolicy miasteczka Magdaleny w Meksyku 150 uzbrojonych czerwonoskórych napadło i wymordowało 12 białych farmerów.

20 grudnia.

Znów okropna katastrofa wydarzyła się w kopalni w Jacobs Creek, Pa. Wskutek wybuchu gazów przeszło 200

górników zostało żywcem zakopanych. Siła wybuchu była tak wielka, że dała się odczuć w promieniu kilku mil. Już to piąte nieszczęście tego rodzaju w bieżącym miesiącu.

W Pittsburgu od lat 34 grasuje tyfus który już pochłonął tysiące ofiar ludzkich.

W Palermo na Sycylii wydarzyła się eksplozja wojskowego magazynu, w którym była złożona wielka ilość dynamitu. Od siły wybuchu wstrząsło się całe miasto, powodując zawalenie się domów, pożar i panikę wśród mieszkańców.

21 grudnia.

Prezydent Roosevelt przyłączył do rezerwy ochronnej lasów państwowych nową przestrzeń lasów w Stanie Kansas, obejmującą milion akrów przestrzeni.

W Nowojorskim szpitalu „Roosevelta“ lekarze dokonali bardzo trudnej i delikatnej operacji: zaszyli oni ranę serca u pewnego chłopaka, którego zranił nożem jakiś nieznajomy człowiek. Operacja się powiodła i chłopiec wyzdrowieje

W Paryżu, Francja — przeprowadzono w parlamencie nowe prawo, zabraniające księżom odprawiania Mszy św. po kościołach.

Z NASZEJ KORESPONDENCYI.

Milwaukee, Wis.

Kochany Przyjacielu!

Stosownie do obietnicy donoszę kochanemu Przyjacielowi o naszym obchodzie. Dnia 29 listopada, o godzinie drugiej, zebrały się dzieci w hali szkolnej. Przemówił do nas kochany ks. proboszcz, wyjaśniając nam pamiątkę dnia tego. Potem nastąpiły śpiewy i deklamacje klasy 7 i 6. Dzieci z siódmej klasy śpiewały „Wspomnienie o Polsce“ „Orzeł Biały“. Jestem Polskie Dziecko. Deklamacje „Męczennik“ wygłosiła klasa 7. „Polskiemu pachołociu“ powiedział Stefan Wegner; zaś Stasia Galińska deklamowała „Do dzieciny Polskiej“, a Walerya Grzona „Modlitwę za Polskę“. Klasa szósta śpiewała, „Kochajmy się bracia i Podróż na Sybir“, a deklamowała „Polskę w kajdanach“. Jan Grunwald wygłosił „Na cześć Kościuszki“.

Na końcu wszystkie dzieci odśpiewały „Boże coś Polskę“ a potem Wiel. ks. proboszcz odmówił modlitwę za poległych w powstaniu. Rozeszliśmy się do domów z myślą że „Jeszcze Polska nie zginęła“.

Żegnam kochanego Przyjaciela

Marceli Rosynek, ze szk. św. Kazimierza.

Chicago, Ill.

Kochany Przyjacielu!

Nikt, zdaje się z naszej szkoły nie pisał do „Macierzy Polskiej“, ja pierwsza zabieram się do udzielenia kilku wiadomości. Co rok przed świętami Bożego Narodzenia chodzi po klasach z ks. proboszczem gwiazdor. Dzieci śpiewają kolędy, a Gwiazdor obdziela je orzechami, cukierkami, piernikami i owocami. Najgrzeczniejsze i najpilniejsze dostają jeszcze od Gwiazdora różne podarunki. Nie wiem, jak będzie w tym roku, bo W. ks. proboszcz jeszcze z Europy nie powrócił. Ponieważ przed świętami nie będę miała czasu pisać, przeto teraz życzę drogiemu Przyjacielowi i wszystkim czytelnikom „Macierzy Polskiej“ Wesołych świąt.

Marya Garowska, ze szk. św. Kazimierza.

Cleveland, Onio.

Drogi Przyjacielu!

Chodzę do szkoły św. Kazimierza, mam lat 12 i jestem w piątej klasie. W naszej klasie jest 45 dzieci. W

całej szkole jest około 330 dzieci. Uczy nas Siostra M. Leona, kochamy ją bo jest bardzo dobra; uczy nas bardzo pięknych rzeczy, opowiada różne piękne powiastki, i czyta nam liściki z Macierzy Polskiej, bardzo mi się one podobają. Obecnie mamy duże nowe klasy, bo nie było dosyć miejsca. W niedzielę przed nieszporami mamy naukę katechizmową w kościele, którą ma z nami ksiądz proboszcz.

Zostaję z najserdeczniejszym pozdrowieniem

Helena Romanowska.

Milwaukee Wis.

Drogi Przyjacielu!

W tym liście chcę Ci oznajmić o zabawie którą urządziły dzieci z naszej klasy a która odbyła się w wigilię Dnia Dziękczynnego, t. j. w środę popołudniu. Dziewczęta i chłopcy deklamowali różne ustępy w języku angielskim. Wszyscy ubraliśmy się odświętnie, a szczególnie chłopcy wyglądali „gracko!“ Program został wyczerpany w niespełna godzinie. Najlepiej podobał się wszystkim murzynek, panicz Roman Dych, który swoim monologiem „A Plea for the Day“ ubawił wszystkich. Prezesem zabawy był uczeń Antoni Wiśniewski, marszałkiem, Leon Schmidt a sekretarzem Franciszek Lepak. Szkoda, drogi Przyjacielu, że nie byłeś obecny na tej zabawie, bo z pewnością ubawiłbyś się doskonale. Siostra nauczycielka przyrzekała nam, że następny występ będzie na drugi miesiąc. Urządzimy wtedy obchód listopadowy, lecz uczyć się równocześnie na dwa występy byłoby za wiele. Poprzestaliśmy wtedy na przeczytaniu opisu o powstaniu listopadowym z „Macierzy“ na ten raz. Później napiszę więcej.

Z pozdrowieniem

Marta Peplińska, ze szk. św. Jadwigi.

Chicago, Ill.

Drogi Przyjacielu!

Niniejszym liścikiem pragnę zapewnić Drogiemu Przyjacielu, że i dzieci ze szkoły św. Jana K. pragną Twojej przyjaźni i że z niemniejszą radością witają i czytają M. P. Byłabym już dawniej pisała, ale obawiałam się, że list mój mógłby przypadkiem znaleźć się w „Koszowie“, zamiast w Macierzy P. Dziś już się tego nie obawiam, i mam nadzieję ujrzeć swój liścik w M. P.

Przed niedawnym czasem odbyło się w naszym kościele 40 godzinne nabożeństwo, z którego to powodu mieliśmy kilka dni wolnych. Za kilka dni znów rozpoczyna się świąteczne wakacje. Choć są one bardzo miłe, to jednakowoż tęskno mi za szkołą, bo się lubię uczyć. Najwięcej lubię Historię Polską i gramatykę polską.

Życzę Przyjacielowi wesołych świąt.

Franciszka Czuj, ze szk. św. Jana K.

Milwaukee, Wis.

Drogi Przyjacielu!

Nie masz pojęcia, drogi Przyjacielu, jak chętnie czytam „Macierz Polską“. Czasem na wieczór, gdy już się wyczuje wszystkich lekcji, biorę tygodnik i zaraz, czytam niektóre powiastki papie i mamie. Papa każdy raz zachęca mnie, bym rozwiązała łamigłówniki, lecz zawsze jest jedno, lub drugie którego nie mogę zgadnąć. Z powiastek dużo nowych rzeczy nauczyłam się. Wszystkie nasze dziewczęta i chłopcy lubią czytać „Macierz“ i nie mogą się doczekać dnia, w którym Siostra nauczycielka rozda pisemko.

Trzymamy w domu dwie polskie gazety mianowicie „Nowiny” w naszym mieście redagowane przez Wiel. ks. Górala i „Macierz Polską” przez naszego Przyjaciela, Wiel. ks. Feliksa Ładońia. Na drugi raz napiszę więcej. Bądź zdrów, drogi Przyjacielu!

Leokadya Sonnenberżanka, ze szk. św. Jadwigi.

Milwaukee Wis.

Drogi Przyjacielu!

Zakłopotalam się bardzo, widząc Twe pytanie umieszczone w odpowiedzi na mój liścik. Dlaczego te obrazy migawkowe odtwarzają nam ten sam ruch przedmiotów, który chwyciła klisza fotograficzna? Przyjacielu! tego nie rozumiem jeszcze, lecz proszę bądź tak łaskawy i wytlómacz nam to w Macierzy. Będą Ci wszyscy za to bardzo wdzięczni, a szczególnie

Fran. Kupczakówna, z 7 kl. szk. św. Kazimierza.

OPOWIEDZI.

F. Kupczakównie. — Dobrze, w „Pogandankach Dziadusia”, w jednym z następnych Nr. M. P., znajdziesz wyjaśnienie.

M. Parowskiej. — Pierwszy to liścik P. otrzymał z waszej szkoły od ciebie. Za liścik i życzenie P. dziękuje i prosi o więcej korespondencji.

Jul. Makowskiemu. — P. życzy ci pomyślnego zdania egzaminu i oczekuje opisu ze styczniowego obchodu.

H. Frajżeżance. — P. jest wam wdzięczny za tak serdeczne przyjęcie M. P. Bardzo dobrze robisz, że rozwiązujesz zagadki, uczy to myślenia. A możebyś sama ułożyła jaką łamigłówkę?

K. Banaszak. — P. cieszy się również, że fotografia dobrze wypadła, a za pozdrowienie dziękuje i nawzajem pozdrawia.

Wer. Nieżywickiej. — Szkoda, że tatuś nie pozwolił ci jeszcze zaprenumerować M. P., ale pewno pozwoli ci na to, kidy przyobiecą.

J. Kozikowi. — P. dziękuje za opis waszej szkoły i ma nadzieję, że nie każesz mu długo czekać na list następny.

Fran. Czujównie. Za miły twój liścik P. serdecznie ci dziękuje i cieszy się z tego, że i dzieci z waszej szkoły może zaliczyć do swoich małych przyjaciół. Obawy twoje były próżne. Ponieważ lubisz Gram. Pol. staraj się też zastosować ją do pisowni własnego nazwiska. Za życzenia P. dziękuje i nawzajem zasyła, abyś wakacje świąteczne spędziła zdrowo i wesoło i z ochotą rozpoczęła potem naukę w szkole, do której tęsknisz.

ROZWIĄZANIE ZAGADEK Z NR. 50.

Szarada: maj — ster. Zagadka. Myśl.

Łamigłówka sylabowa: Canton, gOrale, MaRtwe, szKaL, MadrAs, GustaW, KanaDa, LadOga, NeWark, dYwa-ny: Córka wdowy.

Szarada: szyld — kret. Zagadka: róża.

KWADRAT MAGICZNY.

S a n o k
A l i n a
N i g e r
O n e g a
K a r a s

Macierz Polska w Stanach Zjednoczonych AMERYKI PÓŁNOCNEJ.

p. o. Najśw. Maryi Panny Królowej Korony Polskiej

Organizacya łącząca młodzież polską obojga płci w pracach naukowych, patriotycznych i bratniej pomocy dla podniesienia ducha moralności i dobrobytu w społeczeństwie a szczególnie między młodzieżą polską.

Założona dnia 1go października, 1897 roku.

Inkorporowana przez Stan Illinois, dnia 4go września, 1903 r.

Obdarzona Błogosławieństwem Ojca św., Piusa X, dnia 30go czerwca, 1906 roku.

BIURO GENERALNE:

141-143 W. Division Str. Chicago, Illinois.

ZARZĄD GŁÓWNY:

Ks. Franciszek Gordon, C. R., Moderator; Julian Szczepański, Prezes; Agnieszka Nering, I Wice-prezesa; Maksymilian Brochocki, II Wice-prezes; Wincenty J. Józwiakowski, Sekretarz Główny; Władysław Sztanka, Skarbnik; Paweł P. Kucharzski, Dyrektor; Julian J. Nejman, Dyrektor; Feliks Augustynowicz, Dyrektor; Franciszek Siatkowski, I Marszałek; Jan Szpekowski, II Marszałek.

Ks. Feliks Ładoń, Redaktor; Dr. Bolesław Klarkowski, Lekarz Główny; Ludwik Jankowski, Dyrygent Muzyki i Śpiewu; Teofil Gordon, Asystent Sekretarza Głównego; Ignacy Ciesielski, Bibliotekarz i Zarządca Klubu; N. L. Piotrowski, Doradca Prawny.

Posiedzenia Zarządu Głównego odbywają się w 2gi wtorek miesiąca wieczorem.

Godziny ofisowe Sekretarza Głównego w Biurze Generalnem: W każdy wtorek i piątek od godziny 7 do 9 wieczorem; Skarbnika: W każdy poniedziałek i piątek od godziny 7 do 9 wieczorem.

Klub Macierzy Polskiej, dla członków organizacyi otwarty co wieczór, od godziny 7-ej do 10-ej. W niedziele, od godziny 3-iej popołudniu.

Do Macierzy Polskiej może należeć każdy Polak lub Polka religii rzymsko-katolickiej, liczący lub licząca mniej niż 45 lat wieku swego.

Nowe oddziały Macierzy Polskiej formować się mogą za porozumieniem się ze Zarządem Głównym Macierzy Polskiej. Osoby chcące się zająć organizowaniem nowego oddziału muszą otrzymać na to pisemne pozwolenie od Zarządu Głównego Macierzy Polskiej, który udzieli odpowiednich instrukcyi, a po uformowaniu oddziału i załatwieniu formalności, wyda dyplom na mocy którego oddział otrzyma prawa i przywileje organizacyi

Każdy nowo-wstępujący składa przed formalnem złożeniem przysięgi następujące opłaty: wstępne stosownie do wieku, za odznaki, za kwitaryusz, za konstytucyę i podatek miesięczny regularny, za czas od chwili przyjęcia go na posiedzeniu przez głosowanie. Opłaty wstępne są następujące: do lat 15 nieskończonych 50 centów; 16: 60c; 17: 70c; 18: 80c; 19: 90c; 20: \$1.00; 21: \$1.10; 22: \$1.20; 23: \$1.30; 24: \$1.40; 25: \$1.50; 26: \$1.60; 27: \$1.70; 28: \$1.80; 29: \$1.90; 30: \$2.00; 31: \$2.20; 32: \$2.40; 33: \$2.60; 34: \$2.80; 35: \$3.00; 36: \$3.20; 37: \$3.40; 38: \$3.60; 39: \$3.80; 40: \$4.00; 41: \$4.40; 42: \$4.80; 43: \$5.20; 44: \$5.60; 45 nieskończonych: \$6.00.

Kwitaryusz 10c. Konstytucya 10c. Odznaki dla mężczyzn \$1.00; Odznaki dla pań \$1.25. Podatki: regularnie co miesiąc na fundusz obrotowy 10c, assesment regularny na pośmiertne co miesiąc 10 centów.

Assesment nadzwyczajny nakłada się stosownie do wypadków śmierci, obliczając i rozkładając sumę wypłacić się mającą, na równi wydatku na pośmiertne, na każdego członka z dołączeniem jednego centa do każdego wypadku.

Oddziały podwładne mają prawo ustanawiać dla siebie wsparcie w chorobie i w tym celu ustanawiać dla siebie podatki

W przypadku śmierci członka Macierz Polska płać spadkobiercom za każdy miesiąc przynależności członka do Macierzy Polskiej i opłacenie wszystkich podatków, sumę \$10.00, stopniując aż do wysokości \$500.00 biorąc jako podstawę w obliczaniu wysokości pośmiertnego opłacone assesmentu miesięczne.

Wszystkim Braciom i Siostram w Macierzy Polskiej serdeczne życzenie pomyślnego Nowego Roku, przesyła
ZARZĄD GŁÓWNY.

ADMINISTRACYE NA ROK 1908.

Oddział 3.

Św. Franciszka Serafickiego.

(przy kościele św. Stanisława K.)
Prezes Franciszek Scálott.
Kapelan Przew. ks. Franciszek Gordon.
Wice prezes August Bradtke.
Lekarz, Dr. Bolesław Klarkowski.
Skr. prot. Franciszek Schulist.
Skr. fin. Józef Rzepka.
Skarbnik Józef A. Lasecki.
Radni, Wiktor Schulist, Józef Smitz i Feliks Mikulski.
1szy Marszałek Józef Muszyński.
2gi Marszałek Jan Lalasz.

Oddział 9.

Królowej Jadwigi

(przy kościele Najśw. M. P. Anielskiej).
Prezeska Anna Szmyt.
Kapelan, Wiel. ks. Franciszek Saborosz.
Wiceprezeska Klara Plencler.
Lekarz, Dr. B. Klarkowski.
Skr. prot. Jadwiga Mika.
Skr. fin. Franciszka Kałas.
Kasyerka Marya Kwidzińska.
Radne, Agnieszka Kowalska, Paulina Koźlik i Franciszka Nowak.
1sza Marszałkini, Bronisława Gęsička.
2ga Marszałkini Anna Rembowicz.

Oddział 10.

Św. Jacka

(przy kościele św. Stanisława B. i M.)
w Cragin.
Prezes Franciszek Masiak.
Kapelan, Wiel. Ks. Jan Obyrtacz.
Wiceprezes Franciszek Kowalski.
Lekarz, Dr. B. Klarkowski.
Skr. prot. Stanisław Ugorek.
Skr. fin. Alex. Kowalski.
Skarbnik Jan Możuch.
Radni, Jan Czosek, Stanisław Jakubski.
1szy Marszałek, Piotr Ugorek.
2gi Marszałek Leon Jakubski.

ODDZIAŁ 16.

Św. Bronisławy.

(przy kościele św. Stanisława B. i M.)
w Cragin.
Prezeska Józefa Piekarska.
Kapelan, Wiel. Ks. Jan Obyrtacz.
Wiceprezeska Katarzyna Kowalska.

Skr. prot. Józefa Masiak.
Skr. fin. Maryanna Masiak.
Kasyerka Józefa Pawłowska.
Radne, Józefa Kowalska, Antonina Kujawska i Antonina Kubisztal.
1sza Marszałkini Stanisława Lewandowska.
2ga Marszałkini Franciszka Siernicka.

LOSOWANIE NAGRÓD ODŁOŻONE

Losowanie nagród na bilety na dochód Sztandaru Macierzy Polskiej zapowiedziane na losach na dzień 31go grudnia, b. r. zostało odłożone do końca miesiąca stycznia 1908 roku. Dzień losowania będzie później dokładnie ogłoszony.

Agnieszka Nering, Prezeska.

Anna Klarkowska, sekretarka Komisji Sztandaru M. P.

UWIADOMIENIE.

Pieniądze za losy można płacić kasyerce komitetu pani Franciszce Neiman, w każdy poniedziałek i piątek od godz. 7:30 do godziny 8:30 wieczorem w głównym biurze Macierzy Polskiej, 141—143 W. Division ulica.

NADZWYCZAJNY PODATEK NA POŚMIERTNE.

CYRKULARZ Nr. 30.

Na miesiąc grudzień r. 1907, wynoszący 30 centów.

Donosimy niniejszem, że na miesiąc grudzień roku 1907 przypada podatek Nr. 30 na wszystkich członków i członkinie Macierzy Polskiej, przyjętych do dnia 1go października 1907 r., wynoszący trzydzieści centów, na pokrycie pośmiertnego:

Wypadek Nr. 46 śp. Helena Bojan, Odd. 12. Suma \$470.00.

Zwracam uwagę, że nadzwyczajny podatek na pośmiertne ma pierwszeństwo przed wszelkimi innymi podatkami i musi być niezwłocznie skolektowany i wpłacony do Kasy Głównej.

Z braterskiem pozdrowieniem
Winc. Józwiakowski,
Sekretarz Główny.

PODAJCIE NOWE ADRESA.

Członkowie Macierzy Polskiej mają niezwłocznie uwiadomić swych sekretarzy protokółowych o każdej zmianie swego adresu, inaczej nie będą otrzymywali "Macierzy" regularnie.

Przy zmianie adresu należy podać dokładnie imię i nazwisko, stary adres i nowy, numer domu, ulicę i miasto, oraz dołączyć numer Oddziału i numer książeczki podatkowej.

Zarząd Główny.

Zamawiajcie Fotografie.

Kto chce posiadać fotografię swoją w grupie swego oddziału, niech się zgłosi niezwłocznie do galerii Kościuszkowskiej i poda swe zamówienie wraz z umówioną opłatą 50 centów.

Wincenty J. Józwiakowski,
Skr. Główny.

DO SZANOWNYCH PRENUMERATORÓW MACIERZY POLSKIEJ!

Administracja Macierzy Polskiej uprasza Szanownych prenumeratorów do nadsyłania prenumeraty za „Macierz Polską”. Zarząd poczty ustalił nową regułę zmuszając wydawców do wykreślenia z liczby każdego czytelnika który nie ma gazety opłaconej z góry, dlatego upraszamy o nadsyłanie takowej; w razie przeciwnym będziemy zmuszeni każdego nieopłaconego prenumeratora wykreślić z listy.

Prenumeratę należy nadsyłać pod adresem

Macierz Polska, 141-143 W. Division str., Chicago, Ill.

Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

Warszawa. — Z zarządu głównego P. M. S. Na ostatnich posiedzeniach zarządu głównego Polskiej Macierzy Szkolnej utworzono komisję organizacyjną, złożoną z pp. Gryżowskiego, Latosławskiego i Stępowskiego, która się zajmie przygotowaniem do zgromadzenia ogólnego Macierzy.

Otrzymało wiadomość o zapisie ś p. Juliana żurawskiego, adwokata przysięgłego z żytomierza, na Polską Macierz Szkolną sumy, wynoszącej około 30 tys. rubli.

P. B. Wilezyński z Warszawy ofiarował Macierzy 200 tomów różnych książek.

Kopalnia „Flora“ ofiarowała wagon węgla za pośrednictwem dyrektora Kontkiewicza.

Fotografie!

Wykonujemy w najnowszym stylu i najmodniejszych pozycjach. Słabie fotografie wykonujemy z wielką akuracją i w dnie pochmurne i deszczowe wykonujemy fotografie pod gwarancją. Jedyna galeria, która posiada światło Rembleta. Ceny zniżone dla grup towarzystw i dzieci.

Extra dla nowożeńców!

Dajemy jako prezent piękny portret wielkości 16x20.

St. Adamkiewicz & Co.

właściciele zakładu fotograficznego

AMERICAN PHOTO ART STUDIO,

685 Milwaukee Avenue,

— pomiędzy Augusta i Noble ulicami. —

N. L. PIOTROWSKI

ADWOKAT.

Praktykuje we wszystkich sądach.

Ofis: 59 Clark ul., róg Randolph

Półkój 307, 8cie piętro. Tel. Central 983.

Wioszorem 805 Noble ul. Tel. Monroe 247

Mieszk. 80 Humboldt Blvd. Tel. Humboldt 1864

DZIENNIK CHICAGOSKI

NAJSTARSZE I
NAJPOPULARNIEJSZE DZIENNE
PISMO POLSKIE W AMERYCE.

WYCHODZI CODZIENNIE
z wyjątkiem niedziel i świąt,
o 8miu wielkich stronicach.

Podaje dziennie wszystkie wiadomości telegraficzne z całego świata.

Na żądanie posyła trzy egzemplarze na okaz.

Cena na prowincyi:

\$3.00 rocznie, \$1.50 na pół roku,
75c na kwartał, 25c na miesiąc.

W mieście Chicago:

45c miesięcznie.

U roznościelell egzemplarz 1c.

Pieniądze można przesyłać przez Money Order lub w jednocentowych znaczkach pocztowych.

**Drukarnia
Dziennika Chicagoskiego**

wykonuje wszelkie prace w zakresie drukarski wchodzące, szybko, gustownie i tanio.

Księgarnia**Dziennika Chicagoskiego**

ma na składzie książki wszelkiego rodzaju. — Katalogi na żądanie.

Wszelkie zamówienia należy przesyłać pod adresem:

The Polish Publishing Co.,

141-143 West Division Street,
CHICAGO.

**Pierwszy Polski Zakład
INTROLIGATORSKI,**

812-14 MILWAUKEE AV., róg HADDON
CHICAGO, ILL.

podejmuje wszelkie oprawy książek, w jest nakłady całe lub pojedyncze, jako te książki biblioteczne, do nabożeństwa, nauki, książki szkolne i t. d. po cenach umiarkowanych. Każda robota wykonana w naszej pracowni będzie gustowna i trwała, za co ręczymy naszym klientom.

OLSZOWY I SPÓŁKA,
812-814 Milwaukee Ave.
CHICAGO, ILL.

Lecznica Krakowska,

576 Milwaukee ave., na piętrze.

Leczenie: Gorącym powietrzem, Wibracją, Elektryką, Massażem, Gimnastyką, Hydroterapią, Suggestyą, Kąpielami siłowymi i mineralnymi.

Władysław Krupa,

Telefon: Polk 1936. Właściciel Zakładu.

"Gazeta Polska w Chicago"

najstarsze czasopismo polskie w Ameryce
założone w roku 1873.

PRENUMERATA ROCZNA \$2.

**Najstarsza Księgarnia Polska
w Ameryce**

zaopatrzona w książki wszelkiego rodzaju. — Katalogi wysyłamy darmo na żądanie.

Najstarsza i największa Introligatornia Polska w Ameryce,
wykonuje wszelkie prace w zakresie introligatorski wchodzące.

Po wszelkie szczegóły piszcie pod adresem

W. Dyniewicz,
532 Noble ul., Chicago, Ill.

OGLASZAJCIE SIĘ
W MACIERZY POLSKIEJ.

Telefon Monroe 1298.

JEŻELI CHCECIE

kupić lub sprzedać property, grunt lub farmę, albo pożyczyc pieniądze na budowę lub zakupno, to zgłście się do nas my wam najlepiej usłużymy

A. J. Kowalski & Sons,

625 Noble ul., Chicago.

JAN KOWALSKI,

agent ubezpieczenia od ognia członek Fire Underwriters Association. Asekurujemy od ognia w najlepszych kompaniach. Wyrobiamy wszelkie papiery legalne.

Artystyczne Grenowanie i Dekorowanie Freskiem i Tapetami

**MAX BROCHOCKI,
Malarz i Dekorator.**

Wykonuje wszelkie roboty w zakresie malarski wchodzące.

595 Holt Ave., - CHICAGO.

FRANK KLAJDA

Ciesla, Budowniczy i Kontraktor.

Wykonuje wszelkie roboty szybko, starannie i po bardzo niskich cenach.

595 Dickson ul. Tel. Polk 225

**JÓZEF KORZENIEWSKI,**

Przedsiębiorca pogrzebowy
i balsamator.

Wypożycza powozy na pogrzeby, chrzączki, itp.
818 N. Carpenter ulica.

Telefon Monroe 944

— Otwarte w dzień i w noc. —

OGLASZAJCIE SIĘ
W „MACIERZY POLSKIEJ”.



MY MA SAYS SHE WILL BUY
OUR GIFTS AT THE ARMITAGE.
SHE CAN DO BEST THERE
AND IT IS SO NEAR HOME.
P. 2. PA SAYS MA IS WISE.

EVERYTHING THAT
MEN AND BOYS WEAR.

THE **ARMITAGE**
MILWAUKEE & ARMITAGE AVES.

3599